NUMER 33. DNIA 17-go SIERPNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

Teodor Mianowski.

Arjadna.

Gdy się zmierzchy wieczorne wkrąg na ziemię kładną,
Ocknij się z tej bezwładnej senności, Arjadno!
Strząśnij z powiek przymkniętych słodko sen skrzydlaty,
Powstań i, jako niegdyś patrzałaś przed laty,
Spojrz na niebo, na góry, na ziemię; ramiona
Rozpostrzej, niech melodja przed wieki uśpiona,
Zaklęta w twoich kształtów przedziwne skonanie,
Rozwiąże się — w promienne dzisiaj zmartwychwstanie!
Niech w świat, będący walką skłóconych żywiołów,
Wniesie mir pojednania, pogodę aniołów!

Arjadno — z głębi toni zamarłej przeszłości,
Co śpi smutkiem skostniałym na łonie wieczności,
Przez głębie czasów głuche, smutkiem niezmierzone
Zstąp na to ciche wzgórze, gęstwą ocienione,
Gdzie cię czekam tak długo... sam nie wiem, jak długo?
Zda się, że wieków, czasów rozpędzoną strugą,
Co już w przeszłość uniosły swe nurty bezdenne,
Wyrzucony zostałem na to wzgórze senne —
I wolno konam, mając nad omdlałą głową
Cudne gwiazdy złociste i toń hebanową.

Czasem zda mi się jednak, że me ucho słyszy
To morze, co wśród zmierzchów przeraźliwej ciszy
Wzdłuż widnokręgów kłęby złowrogie przewala;
Czasem widzę, jak każda rozpędzona fala,
Nim przemknie, czarne głębie aż do dna roztoczy
I krwawą wizję dziejów ciśnie mi przed oczy —
I tak w tem morzu, niby w kartach wieszczej księgi,
Czytam epok minionych szałv i potęgi.

Widzę je... jak padają w głąb, porwane szałem,
W głąb straszną... lata, ludzie, z którymi cierpiałem,
Przechodziłem zwątpienia, upadki i szały,
Wszyscy pędzą gdzieś w przestwór, który mgły zalały.
A ponad paszczą toni, nad uśpioną głębią,
Ciała ich wysuszone wężami się kłębią,
Przeginają, ślizgają, wirują i toczą,
Zrywają się w obłędzie, walczą, cisną, tłoczą
I padłszy w głąb — nie wrócą więcej, pochłonięci
Nicością, co nad nimi wieczny tryumf święci!

A od nich dusza moja wstecz zatacza biegi,
Aż nad ciemnej przeszłości zapomniane brzegi,
Odświeżając w pamięci czas dawno przeżyty —
I, krocząc wstecz, poznaje wszystkie owe byty,
Co dziś obłędne w otchłań rzucały się ciemną,
Parte mocą przeznaczeń, groźną a tajemną...

Pamiętam, jak w poranków letnich cudnej porze
Szliśmy, pełni nadziei, w błękit, złoto, zorze,
Zaczerpnąć duszą siłę, wytrwanie i męstwo,
By w krwawym boju odnieść nad losem zwycięstwo!
A taka wstępowała nam w serce otucha,
Taka moc i potęga rozpierała ducha,
Żeśmy, czując rozkosze niewypowiedziane,
Kładli dusze na jasne, łagodne, świetlane
Promienie, łaskę słońca...

I pomnę, jak przed wieki przeznaczenia mocą
Skrępowani i skuci razem, ciemną nocą

Słaliśmy wzrok obłędny w chmurami zakrytą
Przestrzeń nieba, by przyszły los wydrzeć błękitom;
Wyciągali brzęczące łańcuchami dłonie
Po szczęście, co przebłysło nam na nieboskłonie,
By je uchwycić, ująć i przykuć do ziemi!

. . . .

O, szczęścia dnie splątane z dniami nieszczęsnemi!

. . . .

O straszna wizja wieków! O pełnem przerażeń
Rozwiązaniem zagadki wszechdziejów, wszechzdarzeń,
To straszne, krwawe morze, w którem się chorały
Wszechcierpień, wszechradości w jedną pieśń zmieszały,
Co w łonie jądro prawdy ostatecznej trzyma!
Jedną pieśń, niby z piersi wytchniętą olbrzyma!
Obwieszczającą wokół kręgom wszechstworzenia
Nieśmiertelność boleści i wieczność cierpienia!

. . . .

. . . .

Nie wiem... gwiazdy, czy kwiaty te na pól kobiercu,
Czy niejasne wspomnienia, urodzone w sercu,
Które przepełnia wieków ból przeciągły, długi...
Czy może te gasnące wśród błękitów smugi?...
Nie wiem... kwiaty to senne, czy też gwiazdy złote
Budzą we mnie tę niemą, lecz wielką tęsknotę,
Co nurtem prądu duszę ku Tobie porywa,
Arjadno, — jak łódź wątłą, fala srebrnogrzywa...
Owija się o ciebie, jak o rafę fala,
Tchem gorącym skrę życia w twej piersi rozpala,
Odrywa się — szerokie ogarnia przestworza —
I znów wraca do ciebie, jak kropla do morza...

Może żyjąc w twych czasach najpromienniej śniłem?
Może tam najszczęśliwszą mą chwilę przeżyłem
Pod kraju twego niebem łagodnie promiennem?
Bo wstaje w moich oczu zamyśleniu sennem
Postać twoja nad modrem morzem pochylona
Wśród nocy — widzę twoje bezwładne ramiona
I ciało, które zwolna w sen ciężki zapada,
Wciąż cięższe, bezwładniejsze; w oddali mgła blada
Otula świątyń dachy — ponad tobą cisze
Szeptają swe przeciągłe, smutne modły mnisze
Na długie wieki, cichy wiatr łąką kołysze...

Arjadno, zejdź dziś jako blask miesiąca blady,
Przeźrocza, oczy podnieś na wzgórza, na sady,
Na ogrody, na łąki, które wkoło kwitną —
Taką nocą przed wieki złocisto-błękitną
Zasypiałaś, wciąż w głębsze pogrążana cienie —
Niech ten czas, co przeminął tak niespostrzeżenie,
Kryjąc przed tobą ślady swego zniszczeń dzieła,
Wyda ci się, jak jedna noc, co upłynęła
I wraca, ale wraca wonniejsza i czystsza,
Rozszemrana kwiatami, gwiazdami złocistsza —

Stopy twe zanurz w kwieciu i zieleni zwoju
I płyń przez łąki, zwiewna, jako kwiat powoju
I na wzgórzu koło mnie usiądź!... Białe dłonie
Złóż na moje okryte zimnym potem skronie,
Złóż na moje w agonji mąk zagasłe oczy,
Które od wieków wizja niespokojna tłoczy!
Wskrześ serce, w którem ciche domierają bicia,
Przedłużając w agonji całą nędzę życia!
Usiądź przy mnie! O stopy twe biało-różowe
Niech oprę umęczoną, snem omdlałą głowę
I oczyma, wolnemi z ciężkich mgieł konania,
Spojrzę w twe oczy, pełne cudnego świtania,
Z których promienność szczęścia upływa w przestworza —
Niech mnie wskrzesi, uzdrowi twoja łaska boża!

Arjadno, niech wraz z tobą wpłynę w bezmiar ciszy,
Gdzie szczęście nadziemskiemi melodjami dyszy;
Niech się wyrwę z tych szałów, rozpaczy i zgrzytów!
Odwróć mój wzrok od serca tych nieszczęsnych bytów,
Co teraz idą życia drogą smutną, łzawą
I z cichym patrzą bolem w głąb przyszłości krwawą.
Lub nadziei moc czerpiąc z nieznanej krynicy,
Pełni oczekiwania, drżenia i tęsknicy,
Wiosłami czynu prują głąb toni zakrytą,
Obróceni ku Jutra spodziewanym świtom...

Arjadno, w twoich oczu świetlanym spokoju
Niech obmyję mą duszę, jak w letejskim zdroju!
Niech poskarżę się Tobie, wraz z tych drzew poszumem,
Wraz z gwiazdami, co złotym lśnią na niebie tłumem,
Wraz z tą ciszą wieczoru, co schodzi w głąb cieni —
Jak ci, co wśród wytężeń bolu oniemieni,
Nie mogą głośnej skargi dobyć z głębi łona...
A ty mnie słuchaj — ujmij w twe białe ramiona
Moją szyję, Arjadno i bolu ostatki
Rozsiewaj w mrok, jak błyski ostatnie, jak płatki
Kwiecia na wiatr... i podnoś mnie wzrokiem w te strony,
Gdzie jeno spokój jasny i niezamącony,
Gdzie sen kamienny, długi, ból każdy pochłania,
Gdzie niema więcej czucia, ani — zmartwychwstania!

Maksym Gorkij.

Aleksy Pieszkow, pisujący pod przeimkiem Maksyma Gorkija, urodził się w r. 1869. Syn ubogich rodziców, przechodził ciężkie koleje losu, które nie pozostały bez skutku na ukształtowanie się duszy i umysłu pisarza. Nie bez racji też przybrał sobie przeimek „Gorkij“, to znaczy „gorżki“. Gorkij stracił w czwartym roku życia ojca, a po wyjściu matki powtórnie za mąż, pozostał właściwie bez żadnej opieki — zupełny sierota, którego jedynym wychowawcą i nauczycielem była własna jego dola.

Natura jego fantastyczna, rzutka, nie mogła pogodzić się ze zwykłą powszedniością — otaczających go ludzi — to też rzucił się po świecie — niby wiatr, który ani przeczuł, ani wie, jakiemi łąkami będzie się nocą przemykał i na jakich borach wygrywał swe tęskne melodje. Od lat dziecinnych uświadomił sobie olbrzymią tęsknicę życia — wyjaśnił pod wpływem opowiadanych mu przez babkę-staruszkę bajek — i wziął ją w pierś, jako swą własność, jako skarb, zrobił z niej lutnię, na której gra swemu ludowi aż do dzisiaj...

Każdy naród ma swoją odrębną tęsknotę, swój smutek — a Gorkij pojął ją w najczystszym duchu swego ludu i dlatego w żadnym z pisarzów rosyjskich nie odzwierciadla się tak silnie i wybitnie pierwotna, rozlewna, ale ogromnie smutna -- bo ścieśniona, bo nie mająca ujścia dla swoich pragnień tajemnych, bo skarłowaciała i bezsilna, w nędzy i pod batogiem jedynowładztwa — natura duszy rosyjskiego plemienia.

Gorkij — to jakby wcielenie tego ogromnego ludu, któremu nie dozwolono stać się narodem, wcielenie smutne ogromnie, smutniejsze, niż rzeczywistość, bo tu przynajmniej ma dla pociechy szał, ma zapomnienie w wyuzdaniu — kiedy dla Gorkija to szaleństwo nędzy lub rozpaczy jest jednym więcej tonem w niezmiernie, smutnej, tęsknej jego pieśni...

Życie Pieszkowa, wprost bajeczne — niby wyjęte z opowieści Mayne-Reada, płynie nierówno przez pustynię nędzy i głodu, pod niebem gorących pragnień i tęsknoty.

Życie Gorkija — jak strumień gdzieś w krainie bajecznej — to niknie w piaskach, to znów wypływa wśród skał, to skłębia się w wiry lub znowu z wyżyny leci kaskadą, wodospadem, aby się rozlać szeroko na równinie i bez szmeru, prawie bez ruchu wpatrywać się w modre niebo, w step naokoło rozległy... Oddany do szewca, przebywający następnie u swego dziadka, ucieka wreszcie z powodu złego obchodzenia się i służy jako kuchcik okrętowy. Na okręcie czyta książki swego przełożonego, kucharza — zaczynając od żywotów świętych, a kończąc na romansach Dumasa. Lecz przejrzeć się można tak dobrze w źwierciadle, jak w kałuży deszczowej, w krynicy, jak w stłuczonej szybie — to też Gorkij i w tych książkach odnajduje siebie, odnajduje ukochanie prawdy i ból nad powszednią nędzą, nad powszedniem ubóstwem życia.

Będąc 15-letnim chłopcem, Pieszkow udaje się do Kazania, gdzie pragnie wstąpić do szkoły, bo jeszcze nie wiedział wówczas, że do nauki trzeba wychowywać się w marynarskiem ubranku i w miękkich pantofelkach, nie zaś boso i w oberwanej kurtce.

I dalej znów tuła się — to jako piekarczyk, to jako włóczęga pospolity — a wszędzie uczy się od życia, czyta ze zmarszczek ogłodzonych żebraków, z pochylonych głów chłopskich, z pijackiego bełkotu włóczęgi, ze śmiechu lub płaczu prostytutki — czyta we wszystkiem — zda się w samych promieniach słonecznych — tragedję tej ogromnej, ale bezsilnej, jak sparaliżowany olbrzym, duszy swego ludu...

Aż przychodzi chwila, że sił nie starczy, że barki gną się, niby trzcina wiotka, pod brzemieniem uczuć i rozpaczy, że piersi oddechu nie staje — bo wszędzie w powietrzu tyle wyziewów karczemnych, tyle zgnilizny, tyle czarnego kurzu, unoszącego się nad drogami, któremi idą i idą ci obdarci, wyzuci z praw człowieczych, wyzuci ze wszystkich darów bożych... sił nie starczy i Gorkij wystrzałem z rewolweru za cenę życia pragnie kupić sobie spokój, pragnie zjednać piastunkę-śmierć i śmierć-ukojenie. Ale los poświęcił Gorkija na życie, to też kula złożyła go jeno

na łoże niemocy — nie nadługo. Po wyzdrowieniu Gorkij znów idzie starą swą koleją — przeciska się pomiędzy tłumem najbardziej oberwanych i najliczniejszych zarazem, jako handlarz jabłek, stróż kolejowy, spełniający najniższe posługi, znów jako handlarz kwasem a następnie jako malarz pokojowy. Wreszcie w Niżnim Nowogrodzie dostaje miejsce pisarza u adwokata, który zwraca nań uwagę, zaczyna kształcić i ogładzać tę bogatą, lecz zdziczałą naturę. Innemu może teraz uśmiechające się życie rozwarłoby już uprzejmie ramiona, ale Gorkija coś ciągnęło na stepy szerokie — coś pchało go do tułaczki, jakby instynktownie czuł, że te stepy i brzegi mórz i nędza miast nadwożańskich, to urodzajna gleba, w której jego talent głęboko musi zapuścić korzenie. W nowej włóczędze przemierza własnymi krokami kraj Dońców, Ukrainę i Krym i Bessarabję i brzegi Czarnego morza. W czasie wędrówki zaczyna swój zawód pisarski w Tyflisie, gdzie pisuje do miejscowej gazety. Wkrótce poznaje Korolenkę, który, jako pokrewny mu duszą, staje się przyjacielem i mistrzem Gorkija: rozwija go, wywiera nań wpływ widoczny, kształtuje jego technikę pisarską, służy mu za wzór... Gorkij postępuje szybko, wkrótce dościga i prześciga swego mistrza i zjawia się w literaturze rosyjskiej jako pisarz pierwszorzędny, w którym najwybitniejsi współcześni mu, jak: Czechow, Korolenko, Tołstoj, znajdują poważnego rywala.

Pamiętam — czytałem, będąc dzieckiem, „Przygody paryskiego Robinsona“, które mi przypominają bardzo losy Gorkija... Podobieństwo leży naturalnie nie w faktach, lecz w syntezie tych faktów, którą można wyrazić jako puszczenie dziecięcej duszy samopas i bez przewodników na olbrzymie morze społeczne, unoszące tę duszę na swej fali, niby liść wątły, aby wreszcie zahartować ją swą bezwzględnością i przysposobić do walki lepiej, niż dom rodzicielski. Takie zupełne zaniedbanie człowieka wogóle, a w szczególności dziecka, staje się możliwem albo w takiem kolosalnem skupieniu, w zgiełku życia, jak Paryż, albo w środowisku, w którem panuje strach i nędza, w środowisku z zatrutą atmosferą moralną, jak w Rosji, czy też wogóle tam, gdzie następuje skrzywienie natury ludzkiej, wypaczenie i skarłowacenie popędów wrodzonych, bez względu na czynniki, to skarłowacenie wywołujące. Kto zna Rosję pod względem społecznym, ten z góry miałby prawo przypuścić, że w literaturze odbije się układ społeczny echem pesymizmu, nie rozumu, jak u Niemców, lecz serca, echem fatalizmu, powstającego wszędzie, gdzie rządzi despotyzm (Persja, Turcja, Rosja), odbije się wreszcie w typach psychicznie chorych, w typach, rozkładających się duchowo.

Gorkij, jak zaznaczyłem wyżej, jest bardzo rosyjskim, bardziej daleko, niż wielcy pisarze epoki poprzedniej (Turgenjew, Dostojewskij, Danielewskij i inni), to też w utworach jego niezmiernie wybitnie widać te produkty społecznego rosyjskiego życia: pesymizm z domieszką fatalizmu i ludzi chorych psychicznie. Gorkij nie stoi samotnie, lecz łączy się organicznie z całą grupą pisarzy, którzy, równie jak on, zrośli się z ludem i bytem rosyjskim. Czechow, Uspienskij, Korolenko i wielu drugorzędnych pisarzy, mimo różnic, mają tę wspólną cechę, że przedewszystkiem opierają się swą twórczością o klasy niższe, z nich czerpią, a wszyscy smutni, nie wierzą w życie, wszyscy z utęsknieniem oglądają się za czemś, na czem możnaby zatrzymać wzrok bez trwogi lub bez wstrętu. U Tołstoja — który stoi nieco na uboczu, — przybiera to formę reakcji przeciwko dzisiejszemu życiu na korzyść pierwotnych komun chrześcijańskich, na korzyść omal że barbarzyńskiej prostoty... Tołstoj właściwie opuszcza szranki literatury dla apostolstwa, pozostali zaś pisarze ściśle stoją na gruncie kwestji społecznej i w duszy pragną rozwiązania trapiących zagadnień za pomocą radykalnych reform społecznych. Jednak w utworach ich rzadko przebija doktrynerstwo, publicystyka, a najczęściej życie ludzkie stawiają oni nad przepaścią ze straszną zgrozą, że oto tuż, tuż osunie się brzeg, a człowiek niema ani mocy, żeby się cofnął, ani wiary, że przeskoczy, ani kładki, po której przeszedłby na tamtą stronę.

Ta charakterystyka ogólna odnosi się w zupełności do Gorkija, który z Czechowem i Korolenką stanowi jedną grupę.

Cechą bardzo znamienną jest u niego subjektywizm w tem znaczeniu, że wszystko bardzo blisko wiąże się z własnem jego życiem, gdy tymczasem np. Czechow więcej obserwuje. Stąd płynie u Gorkija pewna ciasnota — obraca się on w określonem kole pomysłów, a wszyscy prawie jego włóczędzy, prostytutki, pijacy etc., są właściwie jednym i tym samym człowiekiem w różnych wcieleniach i okolicznościach. Bywają

pisarze, którzy grzeszą taką jednostronnością z ubóstwa, lecz u Gorkija płynie to najwidoczniej z subjektywizmu, bo kiedyindziej potrafi on wychodzić z tego koła, jak np. w nowelach fantastycznych lub w powieści „Tomasz Gordiejew“, gdzie z niezwykłem zrozumieniem maluje mieszczaństwo rosyjskie, a w szczególności klasę kupców.

Czasy obecne, z powodu gorączkowego życia, czy z innych przyczyn nie rodzą wielkich powieściopisarzy — najwybitniejsi są wszędzie, tak samo w Rosji, noweliści. Gorkij również jest przedewszystkiem sobą w krótkich szkicach, w drobiazgach, które lepiej godzą się z subjektywizmem, z liryką (tej pełno u Gorkija), niż z powieścią. W powieściach Gorkij nie umie zlać harmonijnie wszystkich działających osób, akcja rwie mu się, a ludzie nie zajmują każdy swego miejsca, jak w dobrze ustawionej grupie, lecz jedna osoba drugą zasłania, a wszystkie razem nie tworzą jednolitego, całkowitego obrazu. Powieść Gorkij pisze w ten sam sposób, co nowelę — to znaczy najbardziej zajmuje go charakterystyczny szczegół, uderzający fakt, a mniej daleko cały człowiek, pojęty wszechstronnie, przedstawiony w całej rozmaitości swojej natury. Ludzie dzisiaj nie umieją pisać powieści i w całym świecie pojmują ją nowelistycznie, to znaczy, nie są zdolni zrozumieć różnorodności, wieloosobowości każdego człowieka, które dopiero razem wzięte, stanowią indywidualność i Gorkij idzie w tem z prądem czasu. Typową pod tym względem jest powieść pod tytułem: „Tomasz Gordiejew“. Ogólnie można powiedzieć, że Gorkij wznosi się najwyżej w szkicach z życia niższych warstw społeczeństwa, a właściwie z życia odpadków i wyrzutków społecznych, więc w opowieściach o włóczęgach („Na stepie“, „Przechodzień“, „Byli ludzie“) i t. p. „Inteligenci“ wychodzą u Gorkija zawsze karykaturalnie i nawet niesmacznie — czuć tutaj chęć wykazania słabych, złych stron tej warstwy, chęć wykazania nicości moralnej, ale brak mu znajomości dokładnej psychologji człowieka „uczonego“ i dlatego rzecz pomyślana poważnie, wychodzi z pód pióra karykaturalnie.

Ogółem utwory Gorkija dają się podzielić na dwie grupy: obszerniejszą powieściowo-realistyczną, do której należą wszystkie powieści, opowieści, szkice etc., malujące życie rosyjskie i daleko szczuplejszą — fantazyjno-filozoficzną, zawierającą drobne zazwyczaj utworki („O djable“, „Czytelnik“, „Wynik“ etc.). W te ostatnie Gorkij wlewa najwięcej subjektywizmu, najjaśniej wypowiada swoje poglądy i w nich też najwybitniej widać pesymizm, nurtujący duszę mistrza. Szczególniej ważnym ze względu na zawarte tam myśli jest szkic p. t.: „Czytelnik“, w którym Gorkij mówi o powołaniu pisarza i o pisarzach wogóle. Między innemi powiada: „człowiekowi, mającemu szczęście władania słowem, wstyd i hańba przyznawać się do swojej bezsilności wobec życia i do tego, że nie może stanąć wyżej — nad życiem“. Szkic ten ważny i z tego powodu, że mniej w nim uczuciowego pesymizmu, a więcej określonych postulatów, według których chciałby autor postępować i widzieć postępującymi innych.

Pierwsza grupa — powieściowo-realistyczna — jest określona przez samą nazwę i przez to, cośmy mówili poprzednio.

Na zakończenie trzeba dodać, że Gorkij wciąż jeszcze rozwija się, a każdy następny tom wskazuje na pracę i na żywotność autora. Nawet niewyrobienie, cechujące zwykle ludzi, pozbawionych metodycznego wykształcenia i płynąca z tego samego źródła niejednolitość — porowatość duszy (że się tak wyrażę) — nawet to powoli zaciera się. To też dziś już Gorkij, jak wykazała statystyka, jest najpoczytniejszym w Rosji autorem, chociaż musimy pamiętać, że rodzaj jego talentu jest aktualnym, to znaczy wystarczającym na dzisiaj, wyrosłym na ruchomym gruncie społecznym, że mało w tym talencie strun współdźwięczących na wielkie, a przytem niezmienne zagadnienia ducha ludzkiego. Trzeba o tem nie zapominać, bo to właśnie stanowi niższość Gorkija w porównaniu z takim np. Turgenjewem lub Dostojewskim. Użyję porównania: Turgenjew lub Dostojewskij, to nurcy, badający morze w głębiach otchłannych, a Gorkij, to śmiały rybak, ślizgający się po wzburzonej powierzchni, daleko od brzegu, ale zarzucający swą wędę na długość ramienia i wędziska... Dla przyszłości w twórczości Gorkija okaże się prawdopodobnie najważniejszem i żywotnem to głębokie zrozumienie natury ludowej — tęsknoty, rozlewności i prostoty — wszystko inne, dziś aktualne, przeminie.

Bronisław Dobek.

EMMA JELENSKA

5) Z MIŁOŚCI.

Ona spuściła oczy, a pod tą jego pieszczotą, zaczęło jej w sercu topnieć. Ach, jakże go kochała! Ale nie, nie podda się tej czułości, co ją ogarnia — i rozmowę zaczętą nie da obrócić w żart, ani rozwiązać pocałunkami. Musi choć raz przecie poważnie z nim pomówić, coś z niego wyciągnąć, zmusić go do szczerej, przyjacielskiej gawędy. Musi! Od tego bardzo, bardzo wiele zależy. Więc odrzekła: — „A tak, zdaje mi się, że i ja nawet. Wiem, że mnie kochasz, ale tylko tak sobie — tak, jak kobietę. A ja chcę...“

— No, proszę! a jakże ja cię mam kochać inaczej?

Roześmieli się oboje. On robił taką zabawną, zakłopotaną minę. Widocznie z niej żartował. Oburzyła się. — „Ale nie, Karolu! Nie śmiej się z tego, co mówię. Ja zupełnie serjo to mówię — ty mnie nie uważasz za równego sobie człowieka. Ty mnie naprzykład nigdy nic nie mówisz, nie zwierzasz się. Ja dla ciebie — pod wielu względami — nie istnieję. Ty sto razy więcej powiesz Ruczowi, niż mnie. A jednak żona powinna być pierwszą i najbliższą. No, czyż nie prawda?“

Karol przez chwilę nie odpowiadał. Śmiech znikł z jego twarzy, i zdawało się, że uważnie słucha jej mowy. A w głowie jego powstawały pytania: Czego ona właściwie chce odemnie? czyby to była scena? Wszak kobiety wszystkie lubią od czasu do czasu robić sceny. — Może i ona? Dotychczas tego nie było — ale może... Pewnie się nudzi w domu, więc dlatego... A może ona i ma jakieś racje... Ale czego ona jeszcze chce odemnie? Wszakże ją kocham z całej duszy.

I czuł, że kocha ją naprawdę z całej duszy — że jej osoba zabiera mu coraz szersze miejsce w sercu, że wchodzi mu w krew, że z dniem każdym jest mu ona droższą i milszą, że obecność jej w pustym dotąd domu jest mu coraz większą jasnością, promieniem słońca i ciepła. Ale czego ona teraz chciała? do czego zmierzała? Nie wiedział — i przyciągając ją do siebie, spytał: — „Widzę, że moja pani czegoś chce odemnie. Ale czego? powiedz, najmilsza“.

— Czego ja chcę! — zawołała. — Ależ, Karolu, czy ty sam nie czujesz, że nam jeszcze dużo brakuje do szczęścia?

— Brakuje do szczęścia — powtórzył w myśli — przyznaję, żem tego nie czuł.

— Kochamy się, to prawda. Ale — ale — czy my się dobrze znamy? tak jak powinniśmy się znać... Czy my wiemy o swoich myślach, o swoich zdaniach — no, o duszach naszych... Czy nasze dusze się znają? — Urwała, bo ogarniało ją wzruszenie, a ona chciała być zupełnie spokojną. Ale wiedziała, że musi mówić dalej, że musi wszystko wypowiedzieć, nie stracić tej chwili, co się może nie powtórzy. — „Mąż i żona to powinno być jedno — jedno zupełnie. I myśli powinny być wspólne, i marzenia — i wszystko... nietylko nazwisko — i pokój sypialny. I mąż z żoną powinni iść razem, pod jednem hasłem, do jednego celu. A my — ja nawet nie wiem, co ty myślisz, co ty robisz? — nawet nie wiem, jakim ty jesteś? Jak się o co spytam, odpowiesz mnie byle co — aby zbyć. A niech przyjdzie Rucz, to mówisz mu o wszystkiem — jesteś z nim zupełnie otwarty“.

— Cóż to dziwnego! Rucz — to mój przyjaciel od dzieciństwa prawie.

— Bardzo dobrze — ja się nie dziwię. Ale żona to także przyjaciel. A tymczasem — ja nie znaczę dla ciebie nic. Nie myśl, że jestem już tak niemądra, że nic zrozumieć nie potrafię. Ja dużo czytałam, myślałam — i nie jestem już dzieckiem przecie...

— Wiem, wiem – odparł Karol, trochę niecierpliwie — ale to zupełnie co innego. — I pomyślał: Jednak te kobiety zawsze mają pretensje. I ta nawet,.. dotąd było tak dobrze, spokojnie... I przypomniał sobie różne opowiadania o ich wiecznej dążności do zagarniania władzy, do wpływu na męża. O, co to — to nie! Można żonę kochać, ale być pantoflem — nigdy! To też należy się od razu postawić, od razu pokazać, że z tego nic nie będzie. Odrzekł spokojnie: — „Moja Wando, to wszystko bardzo piękne, co mówisz o jedności, wspólnych celach, etc. i ja nic nie mam przeciwko temu. Jeśli nie rozpowiadam ciągle o tem, co myślę, to nie dla tego, abym chciał coś przed tobą ukrywać, ale po prostu dlatego, że nie mogę być nastrojony na wysoką nutę. Przecie w domu, przy własnej żonie, człowiek ma prawo wypocząć trochę — prawda? Przytem — powiem ci szczerze, nie cierpię kobiet perorujących o ideach, noszących się ze swą wyższością i wiecznie siadających na trójnogu. Tobie szczególniej byłoby z tem nie do twarzy. Żona powinna być przedewszystkiem „radością oczu i weselem serca“ mężowi. A towarzyszów w społecznych sprawach ma on i bez niej dosyć. Co innego, gdy przyjdzie Rucz. To wszystko go obchodzi, coś tam ciągle robimy wspólnie, więc on jaką kwestję zaczepi — i ja też mówię. Ależ w domu, u siebie, niepodobna życia spędzać na jakichś roztrząsaniach, analizach, marzeniach... Trzeba żyć realnem życiem“.

Zamilkł. I długą chwilę nie mówili nic. On czuł się trochę rozdrażniony. Co za wymagania dziwne i niewłaściwe mają te kobiety! Miłe, ponętne stworzenia — ale w najlepszej siedzi na dnie ambicja, chęć panowania — najłagodniejsza ma ukryte pazurki, co się od czasu do czasu pokazują. I to w najniewłaściwszych chwilach! Ot i teraz! Wybrać tę szarą godzinę niedzielną, godzinę wypocznienia i ciszy – na tak nieprzyjemną rozmowę! Potrzebne jej to!

Ona myślała: — „Tak; niby to on ma rację — pewnie, że żona powinna być mężowi radością oczu i weselem serca. A jednak fakt zostaje faktem. Ja dla niego w tej sferze umysłowej, duchowej — nie znaczę nic. A mnie o to najbardziej chodzi. Rozumiem — gdybym była pierwszą lepszą lalką salonową, to mógłby mię odsunąć od tych spraw wewnętrznych. Ale wszakże ja... ja nie jestem jakąś tam gąską. Ja potrafię, jestem w stanie go zrozumieć. Więc czemu?... czemu?... Przytem, i ja coś myślę, i ja coś czuję — moja dusza też warta poznania. Czyż go ona nic nie obchodzi? Czyż jej nie jest choć trochę ciekawy?“

Wreszcie Karol przerwał milczenie. Mówił to samo, co i przedtem — że żona nie powinna po mężu spodziewać się, aby on zawsze był rozmowny, górnolotny, filozoficzno-społecznie nastrojony, aby ją zabawiał wykwintną rozmową, aby się naginał do jej usposobienia. Że mężczyzna styka się po za domem z wielu troskami, że miewa ciężkie chwile, i nieraz przykrości dużo — więc w domu chce znaleźć spokój, a nie filozofję.

— Ależ ja wszystkie troski i przykrości gotowam dzielić! — zawołała Wanda.

On się uśmiechnął i otoczył ją ramieniem. — Moje ty kochanie drogie! — rzekł, wzruszony miłością, która w jej głosie dźwięczała. Przygarnął ją do siebie, i mówił cicho: — Kiedy ja właśnie nie chcę, abyś dzieliła przykrości. Ja tylko dobre rzeczy chcę przed tobą składać. Nie chcę, abyś kiedykolwiek miała z mojej przyczyny znosić troski i niepokoje. Ja chcę ci życie umilić — a nie obarczać cię — rozumiesz? Chcę żebyś była ze mną szczęśliwa, tak szczęśliwa jak to tylko być może. Tym sposobem i mnie uszczęśliwisz. Rozumiesz — rozumiesz — moje ty stworzenie najmilsze! A jeśli ci wszystkiego nie mówię, to nie dlatego abym miał jakie tajemnice — ale ot, po prostu, nie przywykłem, nie potrzebuję dzielić się myślami. — I dodał żartobliwie: „Nie bądź zazdrosną o Rucza“.

— O, nie! nie! — zawołała, śmiejąc się i zarzucając mu ręce na szyję.—Nie będę o niego zazdrosną — nie! — Tylko... — Urwała i przytuliła się do niego. Ach, jakże go kochała! Bardzo, bardzo... tylko że... że czasem czuła się nawet przy nim tak samotną, tak strasznie samotną!

I teraz, siedząc przytulona do niego, z głową opartą o jego pierś, objęta jego ramieniem, czując oddech jego na swem czole, dłoń jego na swem ręku, ciepło jego ciała, całą jego osobę blisko — bliziutko — czuła się daleką od niego — daleką, odrębną, obcą — i samotną. W jego głowie nurtowały myśli, w jego sercu stawały uczucia, których nie dzieliła. Była w nim istota nieznana jej, była kraina, murem odgraniczona — i zdawało się, że ciała ich tworzą zaporę, nie-

przebytą zaporę, co się im zlać w jedną całość nie daje. Że tak było, on przyznawał — i nie raziło to go ani trochę.

— Nie potrzebuję dzielić się myślami — powiedział. Tak, nie potrzebował! — Jakaś ogromna gorycz zaczęła się w niej rozlewać — rosła... rosła... wzmagała się... Gorycz... niesmak...

Ale nie ruszyła się. Siedziała o niego oparta, bez ruchu, i myślała: „Nie powinnam go zrażać — muszę wydawać się zawsze wesołą i zadowoloną“. Ale w głębi, odzywał się cichutki szept jakiś lekki: „Samotna... samotna“...

Karol zaś rzekł po długiej chwili: — „Musimy już odbyć niektóre wizyty... Pytają mnie o ciebie. Niemożna dłużej tak się odosabniać. Może jutro pójdziemy?“

— „Dobrze, idźmy jutro“. Ale serce jej ścisnął żal. Na co im byli potrzebni ci ludzie, obcy nieznani ludzie, którzy wejdą w ich życie — i jeszcze trochę jego myśli i jego czasu pochłoną — i jej go odbiorą. Na co im to? Jednak powtórzyła raz jeszcze: — „Idźmy jutro“.

A on tymczasem myślał: — „To dobrze. Trzeba ją trochę wyrwać z tej samotności. Nikogo nie widuje, rozrywki nie ma żadnej, to i cóż dziwnego, że się wyradzają jakieś tam pretensje! Trzeba jej życie trochę uprzyjemnić — to samo przez się te wymysły znikną“.

V.

15 Stycznia. Dziś minęło pół roku od naszego ślubu. Już całe pół roku! Trudno wierzyć. A jednak — to dziwne — panieńskie moje lata wydają mi się takie minione, zagrzebane, tak gdzieś aż pod ziemię zapadłe — prawie nie moje. Czy to podobna, aby był czas, gdy nie miałam Karola, gdy nie byłam jego — czy to podobna! Ach, Boże! nie wiem, jak ja bez niego tyle lat wytrzymałam! Teraz, ciężko mi przez kilka godzin go nie widzieć. Chociaż — to prawie niemożliwe, a jednak tak jest — gdy go nie widzę, tęsknię do niego, myślę o nim, wprost łaknę jego obecności; gdy się zbliża godzina jego powrotu, ciągle spoglądam na zegar, chodzę od okna do okna, jak dziecko — aż mi wstyd! nasłuchuję w przedpokoju; gdy usłyszę jego dzwonek, zrywam się i chcę lecieć do niego — nie lecę, bo on tego nie lubi — ale wszystko we mnie cieszy się i raduje. A tymczasem, kiedy nareszcie przyjdzie, pocałuje mnie, i zasiądziemy do obiadu — często bardzo nie mamy sobie nic do powiedzenia. Przy obiedzie, to może nic dziwnego, bo on głodny, zajada — a ja zawsze trochę zaniepokojona, czy wszystko dobrze zrobione, a też często zła, gdy wjeżdża pieczeń zalana jakimś wodnistym sosem, albo zając usmażony na skwarkę, albo legumina rozsypana zupełnie (Boże! i czemu mnie nie uczono kucharstwa, zamiast naprzykład historji assyryjskiej, ze wszystkiemi Nabuchodonozorami i Salmanazarami!) Ale po obiedzie, gdy na czarną kawę przechodzimy do mojego buduaru, i Franciszek koło nas się nie kręci, i cicho, ładnie, pachnąco dokoła, i ja wezmę do rąk robotę — że to niby jestem taka pracowita! — a on papierosa zapali, i takie śliczne, błękitnawe dymki wypuszcza — więc wtedy, czemu nie mamy sobie nic do powiedzenia?

Wprawdzie nie milczymy, ale — ja przynajmniej — nie to mówię, cobym chciała. Z początku próbowałam pytać: Cóż dzisiaj robiłeś? kogo widziałeś? gdzie byłeś? Myślałam, że to nic złego. Ale przekonałam się, że to najgorszy sposób. Karol tego nie cierpi. Przez grzeczność coś odpowie, odmruknie raczej, i na tem koniec. Może się mylę, ale zdaje mi się, że on myśli, iż to jest z mojej strony pewien rodzaj kontroli, jakby wtrącanie się w jego sprawy — i tu jego męzka duma narowi się — staje dęba — i ani rusz dalej! Jak tylko to zrozumiałam, dałam pokój. Nie pytam już nigdy, gdzie był i co robił. I wtedy on sam niekiedy coś mówi o tem, coś opowiada, jakieś zasłyszane nowiny powtarza. Ale ostatecznie — wciąż nic o nim nie wiem. Czy to tak być powinno? Czy to tak dobrze? Albo ja wiem!

Czasem i ja mam ochotę znarowić się, dęba stanąć, i powiedzieć: Jak ty mnie, tak ja tobie. I nie mówić mu nic o sobie. Ale toby nie miało sensu. Wszakże w małżeństwie trzeba sobie wzajemnie robić ustępstwa. Zresztą, ja mam naturę szczerą, która potrzebuje podziału. Nie mogłabym żyć zamknięta w sobie. A do kogóż się zwrócę, jak nie do niego?

Więc odpowiadam, gdzie byłam, co robiłam, kogo widziałam. Czasem za to otrzymam od niego jakieś opowiadanie. Ale to nie to samo, nie! Ja mówię dla własnej potrzeby. On mówi, aby się zabawić, aby mi okazać życzliwość — łaskę. On mówi dla mnie, nie dla siebie. I ja to czuję,

i naturalnie, że się z tego nie cieszę — że to mię w dumę nie wbija.

Czy to jeszcze brak przyzwyczajenia do mnie? czy niewiara w moją inteligencję?

Ale przecież — chyba mnie nie ma za głupią? No, nie chcę być zarozumiałą, ale muszę to wiedzieć, o czem zawsze mi mówiono od dzieciństwa — że głupią nie jestem. Tam, w Malinowiczach miano mię za Salomona w spódnicy. To była przesada i zaślepienie, wiem, ale wszakże i inni, nietylko moja najbliższa rodzina, uważali mnie za dobrą głowę. W Warszawie, gdy byłam u Julki, nieraz uczeni i rozumni ludzie rozmawiali ze mną, i to nie o byle czem, ale o zupełnie poważnych rzeczach, i nie wyglądali znudzeni. Nawet tu — Rucz naprzykład coraz częściej w rozmowie zwraca się do mnie, słucha uważnie, gdy opowiadam, i nie wygląda, jak gdyby mnie lekceważył.

Więc czemuż Karol? Gdy go parę razy o to spytałam, to wykręcał się żartem, a raz, to mi dość niecierpliwie odpowiedział: — Dajże mi pokój, Wando, ze swojemi pytaniami! A co? a dlaczego? a z jakiej przyczyny? Jestem jaki jestem — i basta! I za stary jestem, abym się miał przerabiać. — Ja naturalnie zamilkłam na to, i już nie pytam. Potem jemu żal się zrobiło, i całował mnie i pieścił — a wieczorem, to się całkiem rozkleił, i mówił mi mnóstwo ładnych rzeczy. Ale ja teraz wiem już, co to wszystko znaczy u tych panów, i na czem się to kończy. O, nie jestem już naiwną! dobrze wiem, kiedy im chodzi o uczucia, a kiedy o zupełnie co innego.

Ale mniejsza o to! Ja Karola tak kocham, że wszystko w nim jest dla mnie miłe, najmilsze, Chciałabym znaleść klucz do jego duszy — a też i swoją mu czasem otworzyć. Ach, ja tak strasznie potrzebuję czasem podzielić się tem, co się we mnie zbiera! — Ale na to zapewne trzeba czasu. Tak, kiedyś to przyjdzie — nie tracę nadziei. A teraz, i tak jest dobrze. O, zupełnie, zupełnie dobrze.

On jest doprawdy chyba najlepszym z mężów. Myśli o moich przyjemnościach, o moich wygodach, pamięta, co lubię, a czego nie lubię, stara mi się dogodzić w najmniejszych drobiazgach. Robi mi mnóstwo podarunków, drobnych wprawdzie — ale takich miłych! Wczoraj znalazłam na biurku wazonik fijołków — dziś przyniósł z miasta pudełko tych cukierków śmietankowych, które tak lubię. Jeśli gdzie idziemy z wizytą, to zawsze mię przedtem ogląda, czy jestem dobrze ubrana, i daje swoje rady. Wprawdzie nie ma wiele gustu w sprawach toaletowych — naprzykład, chce koniecznie, abym się do góry czesała — a ja wiem, że mi z tem nie do twarzy — o wiele mi ładniej w nizkiem uczesaniu à la Boticelli — ale jeśli mu się to podoba, to czemuż nie mam mu dogodzić. Czeszę się do góry — byleby on mię zawsze kochał! Reszta świata tak mało mię obchodzi.

20. l u t e g o. Zaczynamy prowadzić trochę bardziej światowe życie. Byliśmy na jednym balu i na dwóch herbatach proszonych. Mamy już kółko znajomych, i Karol chce, aby te stosunki były bliskie. Postaram się o to. Ale mnie osobiście nikt tu się nie podobał. Jeszcze panowie dość przyjemni, ale panie dziwnie trzepocące się, gadające, roztrzepane, niby to światowe, niby to i wykształcone — ale jakieś niemiłe. Wydają się głównie zajęte tem, żeby się komuś podobać — zupełnie, jak gdyby jeszcze były pannami — i jedna przed drugą się wystrajają, i rywalizują między sobą, i wydzierają sobie wzajemnie adoratorów. Czuję, że z żadną z nich nie zbliżę się nigdy. A szkoda! Bo Karol chciałby tego, a możeby i mnie lepiej było. Przed paru dniami, wieczorem, wybierał się na jakąś sesję — i mówi do mnie: „Chcesz, to cię odprowadzę do Znajeckich — przepędzisz u nich wieczór“. A mnie, na samą myśl, że będę musiała przez cały wieczór z tą roztrzepaną Znajecką przesiedzieć — strach ogarnął. Nie! Nie! za nic w świecie! Wolę być sama — z książką, z robotą — z memi myślami. „Tak siedzisz ciągle w domu“, przekonywał Karol, „znudzisz się. Wszakże ja nie mogę codzień z tobą być...“ — „Ależ ja nie mam do ciebie pretensji o to, Karolu. Wiem, że masz różne zajęcia — i doprawdy... nie nudzę się wcale...“ Ale choć tak mówiłam, mimowoli zaczęły mi łzy do oczu napływać. Na szczęście, Karol tego nie dostrzegł, i powiedziawszy: „Rób, co chcesz“, wyszedł. A ja zamknęłam się w swoim pokoju i rozpłakałam się.

Wstyd mi teraz tych łez, bo nie miałam do nich żadnego, ale to żadnego powodu. Są to jakieś czysto nerwowe płacze. Bo przecież jestem tak szczęśliwa, jak tylko być może na tym świecie. I Karol jest najlepszym mężem i nie mam żadnej racji do płaczu. Więc to tylko nerwy...

Tylko że — co do owych wieczorów — to dawniej marzyłam sobie... Ale to były zwykłe niemądre panieńskie marzenia! Marzyłam o takich cichych wieczorach, we dwoje, przy lampie. Dokoła cicho, ciepło – kwiaty pachną w wazonach — firanki spuszczone — służba śpi — sprawy dzienne załatwione. A my siedzimy razem w jasnym kręgu światła, padającego z pod abażuru. Zresztą, wszędzie ciemno, sennie — ukojenie wielkie — spokój. Ja mam robotę w ręku — on książkę. Coś poważnego, traktującego o żywotnych, wzruszających nas sprawach — albo jakieś historyczne dzieło — albo coś lżejszego, nowego, mówiącego o kierunkach myśli ludzkiej, o prądach, które wstrząsają umysłami i duchami. o tych falach, co rzucają ludzkością to w tę, to w owę stronę. On czyta — ja słucham. Czasem przerywa, i coś mówi. Ja oponuję, zaprzeczam — dyskutujemy, przekonywamy się wzajemnie — albo razem się zachwycamy, dzielimy się wrażeniem, oburzamy się, śmiejemy się wspólnie. Czasem coś nas razem porwie — nasze dwie myśli polecą gdzieś w przestrzeń, w górę — w niebo. I nawet słów nam nie trzeba.

(C. d. n.)

Kwestje społeczne w przyszłości.

Pod powyższym tytułem ukazało się dziełko berlińskiego prof. Jerzego Adlera. Prof. Adler znany jest ze swych licznych prac z historji socjalizmu, oraz w kwestji zabezpieczenia od braku pracy, bronionej przez niego nietylko w literaturze ekonomicznej, ale i w Radzie kantonu Bazylei (miasta), gdzie przed paru laty dr. Adler, podówczas prof. ekonomji politycznej tamże, złożył opracowany przez się projekt o zabezpieczeniu robotników od braku pracy.

Dziełko prof. Adlera: „Die Zukunft der socialen Frage“, powstało z jego wykładów popularnych, wygłoszonych w Poznaniu na prośbę „Komitetu poznańskiego wykładów naukowych“, mającego na celu podtrzymywanie i rozwój niemieckiego ruchu kulturalnego na kresach wschodnich. Wobec podobnej metody germanizacyjnej, winniśmy tembardziej dbać o to, by wytworzyć na „zagrożonych kresach“ (podług terminologji niemieckiej) ruch kulturalny polski, któryby zwiększał natężenie naszego psychicznego życia i ułatwiał przetwarzanie produktów obcej kultury na nasz dorobek duchowy.

Książeczka prof. Adlera, jako powstała z wykładów, mianych na naszym gruncie, oraz ze względu na to, że jest ona wynikiem badań teoretycznych człowieka przeszło 20 lat pracującego nad zagadnieniami społecznemi, zasługuje na wielką uwagę.

Dążność do reform społecznych, oraz oficjalny patrjotyzm niemiecki zaznaczają się w dziełku dr. Adlera.

W pierwszym rozdziale swej pracy dr. Adler zaznacza tendencje dzisiejszego ustroju społecznego.

Zwycięstwo kapitalistycznej produkcji w pierwszych trzydziestu latach w Anglji i w drugiem trzydziestoleciu na kontynencie, było związane organicznie z przeobrażeniem społecznem, oraz wielu zjawiskami, sięgającemi po za zmiany, jakie zaszły w procesach technicznych. Epoka wielkiego przemysłu jest związaną z bezprzykładnem zastosowaniem sił przyrody, z nieprzepartym odruchem idei osobistej wolności i równości wobec prawa, z wolnością przemysłu, przesiedlania się, pracy i stowarzyszeń.

Wzmagała swe znaczenie i bogactwa klasa, która kierowała producją, zaprowadzała nowe ulepszenia w wytwarzaniu, zdobywała rynki, lecz nierozłącznie z tem szedł rozwój proletarjatu, masy robotników fabrycznych, którzy już nie posiadali nadziei dawnych czeladników rzemieślniczych zdobycia samodzielnej egzystencji.

Masy tych ludzi wzrastały i mobilizowały się z roku na rok; kobiety, dzieci, robotnicy

rolni zwiększali ich tłumy. Skupiane przez współczesne środki techniczne, przerzucane z łatwością z miejsca na miejsce wskutek udoskonalonej komuniknacji, masy te znalazły się w nowych warunkach. Znikły dawne patrjarchalne stosunki między panem a najemnikiem. Nowi fabrykanci, najczęściej parwenjusze z niższych klas pochodzący, znali tylko jedną moralność — sakiewki pieniędzy. Przedłużenia dnia roboczego, zaprowadzenie pracy nocnej, niedbałość o warunki zdrowia i bezpieczeństwa robotników stały się zjawiskami powszechnemi. Zapanował system nieinterwencji. Prof. Adler cytuje z książki Napoleona III.: ,,Extintion du paupérisme“ (1844) następującą charakterystykę ówczesnych warunków: ,,Przemysł, jest to maszyna, która funkcjonuje bez regulatora, kołem swem kruszy ludzi, jak by to był tylko materyał, wyludnia wieś, skupia ludność w pomieszkaniach, światła i powietrza pozbawionych, osłabia ducha i ciało i gdy nic nie może wycisnąć, wyrzuca na ulicę tych, którzy swe siły, młodość i egzystencję przynieśli w ofierze przemysłowi“... „Klasa robotnicza nie posiada nic, co by jej mogło pomódz, nie ma ona innego skarbu oprócz rąk; trzeba dla niej stworzyć korzystne warunki pracy; staje ona jako naród helotów w obec narodu sybarytów, trzeba jej wskazać właściwe miejsce w społeczeństwie i związać jej interesy z interesami ojczyzny, jest ona bez organizacji, bez związku, bez pracy, bez prawa, bez przyszłości; trzeba jej nadać prawo i przyszłość, trzeba ją podnieść we własnych oczach“.

W powyższych cytatach widzimy nietylko wierny zarys ówczesnych warunków, ale i wytyczną dla przyszłej polityki społecznej, której odpowiadały dzieje ostatnich 50 lat.

Wolność osobista, ów rezultat dążeń humanitarnych XVIII. w. oraz konieczne wymaganie ewolucji ekonomicznej, była dobrem, ale, jak słusznie zauważył Rodbertus, przedewszystkiem charakteru negatywnego, tj. tylko szczęściem niezależenia od dowolności innego. Była ona podstawą ludzkich godności, ale sferą próżną, swej treści poszukującą.

Masa robotnicza była prawną cząstką społeczną, wskutek tego walka o jej lepszą dolę musiała mieć inny wynik, niż w starożytności i wiekach średnich, gdzie wszystkie próby zrzucania jarzma kończyły się jeszcze gorszym uciskiem klas ujarzmionych, a hasłem zwycięzców było: „Biada zwyciężonym!“ Warstwy uprzywilejowane nie uwzględniały żadnych domagań się stanów niższych, korzystając z szańców i wałów swych przywilejów; państwo zaś nowożytne i wolność ludu nie czynią żadnych oszańcowań pewnemi.

Tu musimy zastrzedz się nieco przeciwko szematowi historycznemu p. Adlera. Powstanie niewolników w starożytnym Rzymie wywołało nietylko wzniesienie kilkudziestu tysięcy krzyży, z przybitymi na nich niewolnikami, ale prawa i przepisy zabraniające zbyt surowego obchodzenia się z niewolnikami; wojny chłopskie przyczyniły się do ulżenia powinności włościańskich w Niemczech zachodnich. W każdym razie ruchy niewolników w starożytności, wojny chłopskie wieków średnich i ruch robotniczy w XIX w. są zjawiskami trzech całkiem odmiennych kategoryj.

Słusznem jest jedno dalsze twierdzenie prof. Adlera, że dźwignią w poprawieniu bytu klasy robotniczej był nietylko rozwój przemysłu ,ale całokształt stosunków prawno-politycznych Zachodu. Na początku obecnego stulecia, jak o tem świadczą ankiety parlamentarne, oraz liczne urzędowe sprawozdania, pochód kapitalizmu sprawił zwiększenie nędzy. Pod wpływem pism dawnych socjalistycznych pisarzy rozpowszechniło się twierdzenie, że rozwój stosunków ekonomicznych pogarsza położenie klasy robotniczej. Lecz już na mocy licznych dat z ostatniej doby można raczej przyjąć twierdzenie Ad. Wagnera, że podział bogactw staje się coraz bardziej korzystnym dla klasy robotniczej, coraz mniej korzystnym dla innych klas. Obok wzrostu płac widzimy w ciągu ostatnich lat 20 upadek cen wszystkich produktów, a tylko podniesienie ceny mieszkań.

Dr. Adler konstatuje znaczne rezultaty osiągnięte przez ruch robotniczy i politykę społeczną. Organizacje robotnicze zaspokajają umysłowe i kulturalne potrzeby klasy robotniczej. W wielu krajach zaprowadzono obowiązkowe zabezpieczanie robotnika. W Niemczech zabezpiecza się od choroby 9 milionów, od niezdolności do pracy na późną starość 13 mil., od nieszczęśliwych wypadków 19 mil. ludzi. Oprócz tego działają kasy zapomogowe stowarzyszeń zawodowych, udziela-

jące swym członkom wsparcia w razie braku pracy. Ważną też jest działalność towarzystw spożywczych (w Anglji liczą one 1,600.000 członków i posiadają prawie miliard rocznego obrotu; oprócz tego rozwija się działalność municypalitetów, zaspakajających coraz to więcej materjalnych potrzeb ludności.

(Dok. nast.) *Wł. Studnicki.*

Z psychologji mordercy *).

Napisał J. A. BAYGER.

Pytacie, panie, gdziem był tak długi czas, że mnie na świecie nie było widać? Dużoby o tem gadać, a słuchać nie warto... Ale kiedyście tak bardzo ciekawi, to wasza wola — słuchajcie.

Poczęstowałem starego kieliszkiem wódki, a kiedy palącym trunkiem poskromił wzburzenie wewnętrznego robaka, podrażnionego moją ciekawością, rozpoczął z całą prostotą ducha spowiedź z krwawego czynu, który go napiętnował haniebnem mianem zbrodniarza.

„Byłem ja, panoczku, parobczakiem ładnym i tęgim. Bezemnie nie było we wsi ni zabawy ni roboty, a do bijatyki nigdym się nie dał dwa razy zapraszać. Ale przez to lubieli mię i chłopcy i dziewczęta, a nawet żydy i panowie; jak potrzebowali furmanki albo jakiej posługi, to najpierw za mną popytywali. Gdzie Tarnopol, gdzie Brzeżany, gdzie tytoń, gdzie b a n i a, wszędziem bywało jeździł na kraj świata!...

I dobrze mi było, wesoło, żem nie miał czasu zmiarkować, jak lata płynęły. Aż raz stary bat'ko stał mnie namawiać, abym się żenił. Nie chciałem o tem ani słyszeć; wolał ja parobacką swobodę, niż domowe kłopoty. Bo i co mi to za szczęście, żenić się taj gromadzić dwie biedy do jednej chaty. Dobrze to mówią: „Bidnomu żenyty sia, to i nicz korotka“. Parobkowi to co innego. Ale bat'ko się uparł, wyszukał mi babę starszą odemnie, co miała lichy kawałek gruntu, taj rad nie rad, musiałem się żenić.

Przeżył ja tak lat kilka, przybyło i dwoje dzieci, ale do baby takoj nie godzien się przyzwyczaić i ciąglem sztuderował, jakby się jej pozbyć. Alem jej złego nie chciał nic zrobić, broń Boże! Żebym miał chęć ją zabić albo zadusić, to nie. Ino tak sobie myślę, że jak przyjdzie zima, a będzie kiedyś zawierucha z tęgim mrozem, pojadę z żoną na jarmark, przysiedzę w mieście do późnej nocy, potem zjadę z drogi i będę babę woził po polu, póki nie zastygnie... Zapytają co się stało, to powiem: Zbłądziliśmy z drogi, samem się nabiedował, alem chłop, tom wytrzymał, a baba zamarzła... Zejdą się kumy i swaty, pokiwają głowami, pożałują niebogi, że tak marnie zeszła ze świata i wszystko będzie dobrze, bo „durnyj sia ne dohłupaje, a mudryj skaże, szczo tak mało buty“.

*) Opowiadanie to spisałem przed kilkoma laty wiernie z ust nieżyjącego już dzisiaj starca, zamieszkałego wówczas w Plebanówce w p. trembowelskim. Kiedy go pytałem o nazwisko, machnął niechętnie ręką i odpowiedział krótko: „Żebrak“.

Już to ja sobie wszystko dobrze obmyślił, ale Pan Bóg zesłał na mnie nieszczęście.

Ta ty drabie — mówi — babę stracisz, a dzieci drobne zostaną z takim zbójem na świecie? Ta co ty z nich porobisz? Lepiej, abyś ty poszedł do piekła, a baba przy dzieciach niech zostanie!...

I tak się stało... Ja poszedł bez czasu do piekła, a baba ostała.

W lecie — jeszcze do zimy było daleko — najęła mię żydówka, abym ją odwiózł do Janowa. A miała przy sobie 40 rubli... Jadę ja i myślę sobie: dobrze by to było zabrać od niej te ruble. Ba, kiedy nie zechce dać... To trzeba ją zabić, to i tak żydówka,.. Myślę, myślę, sam nie wiem co robić.

Aż tu dwóch koło mnie siadło, jeden z tego boku, drugi z tego. Pierwszy mówi: Bij! a drugi: nie bij!

— A tamten znowu: Bij, będziesz miał ruble!...

— A ten sobie: Ej, nie bij, bo to grzech!

— Taż to żydówka...

— Ale przez tę żydówkę zatracisz duszę!...

Jeden dobrze gada, ale i drugi ma słuszność, choć każdy radzi co innego. Któregoż z nich słuchać?

Z wielkiego zadumania aż sen mię schwycił. I przyśnił mi się ten, co to mi duszę chciał ratować. Gdzieś, panoczku, prowadzi mię do mojej chaty, a ta chałupa tak wam wyjaśniała hej pałac jaki. Nawet baba moja taka się w tej jasności zrobiła ładna, że to cud. A dzieci uśmiechnięte, jak ta wiosna boża, powyciągały do mnie rączęta. Tatusiu — wołają — nie pójdziecie od nas?... nie zabierzecie nam mamy?... nie zrobicie nam krzywdy?... Ja je gdzieś hołubię i na babę słodsze spozieram i tak mi jakoś dobrze było... Taj szkoda co to no raz w życiu i to we śnie taka się chwila trafiła.

Tymczasem konie — jak zwyczajnie — nie czując nad sobą ręki, zeszły na kraj gościńca i poczęły skubać trawę. A luta żydówka dała mi kopniaka w plecy i krzyczy: Ty chłopie, czemu nie jedziesz? Ja ci zapłaciła!

Od silnego kopnięcia zabolały mi krzyże, a tuż za plecami słyszę piskliwy krzyk żydówki. Zakipiała gorąca krew w żyłach, odwróciłem się i ściągnąłem żydówkę biczyskiem po głowie... Narobiła wrzasku i gwałtu, jakby się jej jaka wielka krzywda stała.

I ot zaczęło się piekło...

Dobry sąsiad szczez z woza, a drugi mi prawi: Jeszcześ jej nic nie zrobił, a już krzyczy jak opętana. Nadejdą ludzie, powie, żeś ją chciał zabić i obrabować. Zamkną cię do kryminału i tam gnić będziesz. Szkoda młodych lat, szkoda parobackiej sławy... Póki nie ma świadków, zwal ją porządnie, aby nie wrzeszczała. Już ci i tak wszystko jedno!...

Tak ja zdjął lusznię i dałem jej parę razy po głowie... Przestałaż ona krzyczeć, a ja ją za włosy w żyto, a sam jadę dalej.

A ruble zabraliście? zagadnąłem.

Toż to moje największe nieszczęście — panoczku — żem zabrał, bo mi w sądzie porachowali r a u b i m o r d, a tak byłby tylko mord.

Na moje nieszczęście żydówka nie była zabita, tylko przygłuszona. Po chwili wstała, poszła do szandarów, taj zdradziła.

Przyszli szandary, zakowali w łańcuchy, ta odstawili do Tarnopola. Siedział ja wam rok cały w inkwizycie w Tarnopolu, a potem ośmnaście lat za dekretem w Olmicu.

Odwiedzał nas tam dwa razy najjaśniejszy monarcha...“

Wspomnienie o cesarzu wprawiło starego w zadumę. Przerwał wątek opowiadania, a po chwili, patrząc błędnym wzrokiem przed siebie, westchnął ciężko i mruknął półgłosem, jakby do siebie:

„Hej, żebym to ja mógł teraz dostać się jak do cesarza!...“

Cóżby wam z tego przyszło? zapytałem zaciekawiony.

„To tak proszę pana: Mam już 77 lat, a jeszcze chcę żyć cztery lata... Potem już będę umierał... Alem biedak ostatni, nie mam co do ust włożyć. Chcę prosić najjaśniejszego cesarza, by mi dał pensję na te cztery lata... Przecież ja siedział rok w inkwizycie, a ośmnaście lat za dekretem...“

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. Dr. B. Limanowski. *Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej.* Zurych 1901. Obszerna — przeszło 400 str. licząca — książka p. Limanowskiego stanowi cenny nabytek dla naszej literatury historycznej.

We wstępie autor wyjaśnia swoje stanowisko historyczne przez uznanie hipotezy o powstawaniu państw w drodze podboju i przez wyjaśnienie pojęcia demokracji; następnie w krótkim zarysie przebiega dzieje stanu włościańskiego w Polsce aż do rozbiorów, przechodzi do rozwoju myśli demokratycznej od Barskiej konfederacji aż do czasu Sejmu czteroletniego i, zaczynając od r. 1794, rozwija już szczegółowiej postęp demokratyzacji polskiego społeczeństwa na ogólnem tle naszej historji i w związku przyczynowym lub porównawczym z prądami i historją powszechną. Opracowując rewolucję 94 roku, autor zwraca baczną uwagę na okoliczności poprzedzające i zawierające w sobie tę rewolucję w zarodku, a następnie na fakt, że działaniom naszym zaszkodziła głównie chwiejność, będąca wynikiem rozłamu samej partji rewolucyjnej na obozy: umiarkowany i skrajny i w rezultacie przewagi obozu umiarkowanego. W następstwie autor jeszcze niejednokrotnie przytacza fakty, świadczące o tem, że ten rozłam nie był chwilowym, lecz, że stale towarzyszył całej naszej historji porozbiorowej i że również stale zyskiwało przewagę stronnictwo umiarkowane, które wreszcie sprawę grzebało. Nie tracąc z widoku głównego celu pracy, p. Limanowski wskazuje na program (względnie zakres) kościuszkowskiej rewolucji, aby następnie, przechodząc do dalszych wydarzeń, wykazać rozszerzenie i pogłębienie myśli demokratycznej, która, rzecz naturalna, w pierwszej epoce po rozbiorach obejmowała sobą przedewszystkiem reformę stanów: mieszczańskiego i włościańskiego. Postęp demokratyzacji występuje szczególniej jasno w odniesieniu do położenia włościan, które też autor szeroko uwzględnia we wszystkich zaborach i u różnych właścicieli: szlachty folwarcznej i magnackiej, kościoła etc. Przed szczegółowem (choć rozrzuconem w różnych rozdziałach) rozwinięciu tej kwestji, spotykamy charakterystykę epoki legionów i spisków (do 1807 r.) ze zwróceniem uwagi na znaczenie legjonów, jako czynników moralnego postępu i demokratyzacji z jednej strony i na charakterystykę zaczątków emigracji, będącej również czynnikiem postępu ważnym w dziejach porozbiorowych z drugiej strony.

W dalszych rozdziałach znajomi nas autor (nie tracąc powyższych kwestji z oczu) z usposobieniem publicznem w epoce Księstwa Warszawskiego, z lawirowaniem opinji publicznej pomiędzy Napoleonem i Aleksandrem; daje wogóle zarys dziejów Księstwa i podnosi zasługi polskiego wojska i wojskowości, jako szkoły politycznej karności, patrjotyzmu i demokratyzmu. Fakt ostatni jest ważnym ze względu na Królestwo kongresowe, w którem autor widzi upadek myśli postępowej i brak zdolności organizacyjnych właśnie z powodu rządów cywilnych osób, nie wyrobionych w wojsku (jak powyżej: szkole życia obywatelskiego). Powstanie Królestwa kongresowego na podstawie traktatu wiedeńskiego uwarunkowuje autor poprzedniem istnieniem i szeroką, intenzywną, wojskowo-sprężystą działalnością Księstwa. W tym samym rozdziale obrazowo przedstawione wiarołomstwo Aleksandra (następnie Mikołaja), niedotrzymywanie zaprzysiężonych i podstawowych punktów konstytucji etc. wprowadza czytelnika w epokę fermentu przedrewolucyjnego (tajne organizacje, spiski, literatura polityczna). Historja roku 30 i 31-go znowuż świadczy o tym powyżej wzmiankowanym rozłamie na partje umiarkowanych i skrajnych i o płynącej z tej rywalizacji chwiejności i słabości rządów narodowych; o stałej przewadze umiarkowanych i wreszcie o przyczynie upadku powstania, leżącej w tem umiarkowaniu, względnie niedołęstwie — upadku, nie spowodowanym istotną słabością narodową lub warunkami politycznymi. W ostatecznym wywodzie upadek rewolucji sprowadza się do wązkości programu reform, do obawy przed powołaniem do obrony, do rewolucji ludu i wogóle szerokich mas i większego obszaru kraju. Fakt powyższy był znany już współczesnym i wpłynął znacznie na dalszy rozwój demokratycznych idei w społeczeństwie. Rozwój ten traktuje p. Limanowski w rozdziale następnym o organizowaniu się demokracji, związkach węglarskich i wyprawie Zaliwskiego. Do tego miejsca książka p. Limanowskiego jest bardziej historją Polski porozbiorowej, niż specjalnie demokracji, lecz zaczynając od r. 1834 stosunek faktów ogólnie dziejowego znaczenia do faktów ściśle związanych z ideą demokratyczną, zmienia się na korzyść tej ostatniej i odtąd autor kreśli nam najpiękniejsze i najcenniejsze rozdziały poświęcone demokracji. Spotykamy tutaj doskonale omówione programy różnych stowarzyszeń i związków, ich stosunki wzajemne, stosunki ze stowarzyszeniami i związkami zagranicznymi, tajne organizacje i t. d., które razem wzięte, składają się na wyraźny i dokładny obraz epoki porewolucyjnej — może najbogatszej u nas w wielkie dusze i w wielką ideową pracę. Cała ta część książki wyróżnia się takiem bogactwem treści, szczegółów i myśli, opartych na mnóstwie dokumentów i publikacji, że nie daje się streścić w krótkiem sprawozdaniu. Lata 40-te aż do rewolucji 48 roku z wyłaniającą się kwestją wschodnią, z działalnością Towarzystwa demokratycznego, z rozwojem zaboru poznańskiego, ze spiskami, nastrojem rewolucyjnym i częściowymi wybuchami, z polityką dworów i sympatją ludów dla sprawy polskiej; następnie wybuch rewolucji w Europie i stosunek jej w różnych krajach do Polski, kwestja ruska i znowuż związki i spiski i znowuż ofiary wyczerpują naszą historję aż do lat 50-tych, na których

p. Limanowski kończy swą książkę. Książka p. Limanowskiego, skupiając w sobie rozrzucone wiadomości (z dokumentów politycznych lub drukowanych publikacji), stała się znakomitem źródłem informacyjnem i orjentacyjnem, jedynem dziełem w naszej literaturze, obejmującem w szerszym zakresie, a jednak treściwie i przystępnie porozbiorowe nasze dzieje. Obfitość materjału sprawiła, że praca jest rozstrzeloną, że nie zawiera syntezy i myśli ogólnych, a jest raczej publikacją encyklopedyczną, podręczną, służącą do prędkiego orjentowania się w wypadkach historycznych — publikacją, którą do tego celu znakomicie przystosowują dołączony do książki imionospis i skrócona treść przed pojedynczymi rozdziałami. Brak ogólnej syntezy chciał autor w części usunąć przez dodanie na końcu dłuższego „zamknięcia“, będącego pewnego rodzaju wytyczną drogą, którą rozwijały się i postępowały nasze dzieje. Pod względem zewnętrznym książka została wydana słabo, choć dosyć starannie (z uwzględnieniem na końcu omyłek drukarskich) — zresztą tak, jak najczęściej bywają bite polskie książki za granicą. — Wogóle „Historja demokracji“ czyta się łatwo, a z powodu uwzględnienia najróżnorodniejszych wpływów i czynników, stanowi prawie ogólną historję porozbiorową ze szczególnem uwzględnieniem (a i to płynie z natury naszych porozbiorowych dziejów) myśli demokratycznej. *d.*

*

Stanisław Zdziarski. *Bohdan Zaleski,* studjum bjograficzno-literackie. Lwów 1902. Towarzystwo wydawnicze. 8-ka, str. XV i 420.

Podobnie, jak wielu wybitnych naszych poetów XIX wieku, tak też i Zaleski nie miał dotąd wyczerpującej i naukowo opracowanej bjografji, któraby na tle dziejów jego żywota dała przed oczy czytelnika dokładny obraz rozwoju talentu poetyckiego „słowika ukraińskiego“. Dopiero w setną rocznicę urodzin poety ukazała się obszerna rozmiarami praca, która zregestrowała wszystko, co tylko dotąd o Zaleskim napisano, a nadto, co się tyczy strony bjograficznej, dorzuciła sporą wiązankę nowych, skądinąd nieznanych szczegółów. Główną wagę położył autor na te fakta, które w twórczości poetyckiej Zaleskiego odegrały wybitną rolę. Łączność życia poety z jego działalnością literacką została tutaj wyraźnie zaznaczona. Zaletą też pracy jest, że autor, pisząc o utworach Zaleskiego, zawsze starał się wprawić w ten nastrój, w jakim przypuszczalnie był poeta, tworząc omawiany utwór. Bo tylko tą drogą może krytyk zrozumieć należycie i odczuć gruntownie myśl poety i genezę całego utworu. Że współczucie takie bynajmniej nie wpływa na sąd o wartości utworów omawianych, tego najlepszym dowodem surowy wyrok, jaki o Zaleskim wydał autor w obszernym, kilkuarkuszowym ostatnim rozdziale swojej pracy.

Strona techniczna wydania przedstawia się dobrze i może przekonać niedowiarków, że i w naszych lwowskich drukarniach da się wykonać druk tak samo pięknie, jak w krakowskich. *S.*

PISMA. *Bibljoteka Warszawska.* Lipiec. Z polskich miesięczników „Bibljoteka Warszawska“ coraz bardziej wybija się na plan pierwszy. Lipcowy numer tego pisma zawiera szereg cennych artykułów. Widzimy tam pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa. Pamiętnik ten odtwarza przed nami obraz pokolenia, którego żywot był tak nadzwyczajnie obfity w fakty wielkie. Wstępowało w życie to pokolenie po pierwszym rozbiorze, w okresie odrodzenia z upadku. Znikła polska państwowość, gdyż zanikły w Polsce pierwiastki państwa: armja i finanse. Po klęsce pierwszego rozbioru myśl najlepszych przedstawicieli narodu zaprząta się staraniem o armję i finanse na utworzenie tej armji. Od tej chwili budzą się rycerskie tradycje w narodzie. Kto chce z młodzieży służyć krajowi, wstępuje do wojska. Jan Weyssenhoff wstępuje do wojska w 1789 r. W 1792 r. przechodzi on po raz pierwszy ogień bojowy. Mieliśmy już wówczas dosyć dużo dzielnego żołnierza, mieliśmy już dzielnych oficerów, chociaż w liczbie jeszcze szczupłej, ale młoda armja polska nie miała jeszcze dowódców, ci się urobili później w kampanjach Napoleońskich: „Bóg mi był świadkiem, pisze J. Weyssenhoff w pamiętniku, żeśmy szli z największem zapałem, przebyliśmy żywym krokiem dobrowolnie opuszczone przeszkody, wzdychając powszechnie do starcia się na bagnety. Ale jakąż odkryliśmy nędzę, kiedy już rozwinąwszy się pod silnem ogniem ciężkich baterji nieprzyjacielskich, z kawalerją narodową na naszej prawej, ujrzeliśmy też kawalerję uciekającą w nieładzie dla kilku granatów, rzuconych na nas! Nadto, żadnego z naszych generałów nie było przy wojsku; tylko major Kleist (emisarjusz pruski), przebiegając piechotę przed frontem, zawołał z intencją widoczną: „Alles ist verloren“. Wobec naszej niedojrzałości militarnej, wobec braku ducha bojowego do walki rozpaczliwej ze strony tych, w których ręku leżały losy kraju, poddaliśmy się drugiemu rozbiorowi. Lecz nasza armja, pierwiastek odradzającej się państwowości polskiej, wywołuje powstanie Kościuszkowskie 1794, a po stłumieniu tego powstania dąży do otworzenia państwowości polskiej, formując legjony, dzięki którym powstaje Księstwo Warszawskie i Królestwo Polskie. I słusznie zauważył jeden ze zdolniejszych naszych młodych historyków, że dzieje polskie w owe czasy, to dzieje armji polskiej. Dzieje te przeżywał w jej szeregach J. Weyssenhoff i szczerze, z prostotą opowiada je w swoim pamiętniku, który po kilkudziesięciu latach dostaje się do czytającej publiczności ze szpalt „Bibl. Warsz.“

W tym samym numerze spotykamy też zajmujący artykuł znanego bjologa i świetnego popularyzatora tej nauki prof. J. Nussbauma: Nowa teorja powstawania gatunków. Autor rozpatruje teorje neolamarkistów, którzy kontynuują myśl Lamarka, jednego z poprzedników Darwinu w teorji rozwoju gatunków, ale uważającego warunki zewnętrzne za główny czynnik rozwoju.

„Ogólna myśl neolamarkistów jest następująca: Ustroje znajdują się ustawicznie pod wpływem warunków otaczających: ze zmianą tych warunków muszą się modyfikować ich czynności poszczególne, oraz budowa ich. Wprawdzie drogą dziedziczności jedno pokolenie przekazuje drugiemu swe cechy i zjawiska, to stanowi niejako wewnętrzną przyczynę takiego, a nie innego kierunku rozwoju; ale wszystko, co się stało wewnętrznem,

dziedzicznem, zawdzięcza w ostatecznej instancji swą genezę otoczeniu, które już od najpierwszej chwili pojawienia się ustrojów na ziemi działało na nie ustawicznie, a więc i przyczyny wewnętrzne sprowadzają się ostatecznie do zewnęrrznych: życie i kolejne zmiany form życiowych, to tylko reakcja na tysiączne czynniki świata zewnętrznego“.

Jak wielki wpływ na przeobrażenie gatunków wywierają warunki zewnętrzne, dowodzą tego liczne doświadczenia: np. hodując gąsienice i poczwarki niektórych naszych dziennych motyli, np. rusałek, w temperaturze + 34 do + 38° C., otrzymano nowe odmiany, różniące się od form rodzicielskich ubarwianiem i rysunkiem na skrzydłach, a odpowiadające najzupełniej pewnym odmianom południowo-europejskim.

Autor rozpatruje teorję prof. Hugona de Vries'a, twierdzącą, że rozwój genealogiczny organizmów nie odbywa się równomiernie i w sposób ciągły, lecz, że w dziejach rodowych każdego ustroju występują od czasu do czasu pewne okresy, kiedy podlega on bardzo różnym przekształceniom, produkując wówczas mnóstwo nowych gatunków; w dziejach jego występują tedy okresy, jak gdyby wybuchowego tworzenia się form nowych, pomiędzy zaś niemi zachodzą okresy względnej obojętności, stałości, podczas których w ciągu długiego bardzo szeregu pokoleń nie widzimy zmienności, ani też dążenia do wytworzenia form nowych.

Teorja ta, jakkolwiek nie została należycie uzasadnioną, ściąga ku sobie uwagę badaczy i jest dziś nowym bodźcem w rozwoju bjologji. *Wł. St.*

SZTUKA. William Morris: *Sztuka, jej troski i nadzieje.* I. Sztuki niższe. Tłumaczył E. Bieder. Kraków 1902. Nakładem D. E. Friedleina.

Jest to pierwszy, wstępny wykład słynnego cyklu odczytów pod powyższym tytułem a zawiera on niejako filozofję sztuk dekoracyjnych. Sztuki te — twierdzi wielki angielski pjonier sztuki stosowanej (zachować musimy niestety, nazwę tę powszechnie już w użyciu będącą) — są częścią wielkiego systemu, wynalezionego w celu wyrażenia radości człowieka z piękna. Zajmowały się tem wszystkie narody wszystkich czasów. Sztuki te były rozkoszą wolnych a pociechą ujarzmionych narodów. Religia je przystosowała do swoich potrzeb i podniosła ku wyżynom, często zaś je poniżała i nadużywała ich również dość często. Stoją one w związku z całą historyą i uczą jej dokładnie, a co jest rzeczą najlepszą, osładzają wszelką ludzką pracę, tak rękodzielnikowi który życie swoje całe na zajmowaniu się niemi spędza, jakoteż wszystkim ludziom wogóle, na ktorych podczas każdorazowego spoczynku w pracy codziennej ich widok wpływ swój wywiera. Czynią nas one szczęśliwymi i za ich wpływem spoczynek nasz wydaje owoce... Z chwilą jednak, kiedy zwolna pomiędzy sztukami powstał przedział na wyższe i niższe, artysta wyszedł z pomiędzy rękodzielników a zostawił ich bez nadziei wzniesienia się, podczas gdy sam został bez rozumnej i troskliwej pomocy. Obaj na tem ucierpieli — artysta niemniej jak rękodzielnik.

W jaki sposób wypełnić ten fatalny przedział, jak związać napowrót rzemieślnika z artystą, jak wogóle dążyć do nowej, świadomie uprawianej dekoracyjnej sztuki narodowej, oparłszy ją równocześnie na szerokiem, jedynie pewnem i trwałem podścielisku społecznem — o tem właśnie poucza nas ten wykład, podniosły w tonie, a prosty i jasny we formie. Owiewa nas tutaj na każdym kroku ten szlachetny a nawskroś artystyczny idealizm estetyczno-społeczny, którego obok Ruskina i innych, W. Morris jest dziś w Anglji głównym reprezentantem.

Nietylko dla artysty, czy estetyka, ale i dla filozofa i socjologa obeznanie się z tym prądem jest dziś koniecznością. Zasługą więc jest wydanie tego przekładu (zupełnie poprawnego), po którym pojawią się zapewne dalsze części, razem w jedną całość organiczną ze sobą się wiążące. Pożądanem byłoby jednak bardzo u nas, żeby tego rodzaju wydawnictwa na szersze koła publiczności czytającej obliczone, zaopatrzane były choćby w krótkie objaśnienia historyczne i rzeczowe, na czem wartość ich popularna niezmiernieby zyskała. Nie należy zapominać, że Morris miewał wykłady swoje głównie dla rękodzielników. *A. C.*

*

Polska sztuka stosowana. Krakowskie Towarzystwo „Polska sztuka stosowana“ ogłosiło odezwę do osób, władających pendzlem, ołówkiem lub aparatem fotograficznym, z prośbą o nadsyłanie do zbiorów Towarzystwa wszelkich okazów rodzimej sztuki stosowanej z zakresu budownictwa (kościoły i kościółki, dworki wiejskie, odznaczające się oryginalną architekturą), urządzeń mieszkaniowych ludu polskiego, bądź w całości, bądź w częściach składowych, strojów ludowych z różnych okolic etnograficznie polskich, wszelkich okazów zdobnictwa, noszących cechę samodzielnej twórczości, t. zw. „wycinanek“ ludowych, pisanek i t. p. okazów. Zarząd Tow. ma na celu zużytkowanie tych zbiorów do całego szeregu wydawnictw artystyczno-ludoznawczych, na wzór znakomitego dzieła Dra Matlakowskiego: „Zdobnictwo i sprzęt ludu na Podhalu“.

NOTATKI. *Puścizna literacka Tomasza Zana.* W roku bieżącym jeszcze ukażą się pisma druha Mickiewiczowskiego, Tomasza Zana. Spadek ten duchowy niepospolitego człowieka przechowywany był przez wdowę nieboszczyka w archiwum familijnem i dopiero na parę lat przed jej śmiercią udzielony został do przejrzenia i napisania obszernej monografji p. Marjanowi Gawalewiczowi. Obecnie syn Tomasza Zana postanowił przystąpić do wydawnictwa dzieł swego ojca. Na początek ukażą się tylko utwory poetyckie, poprzedzone przedmową i życiorysem poety, oraz nieznanym wizerunkiem jego z lat młodzieńczych.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8